

JANUSZ GOŁDA



TAJEMNICE

HNATOWEGO BERDA

Janusz Gołda

**Tajemnice
Hnatowego Berda**

Ustrzyki Dolne 2002

Wydawnictwo Bieszczadzkiego Parku Narodowego

Adres:
Ośrodek Naukowo-Dydaktyczny
Bieszczadzkiego Parku Narodowego
ul. Belska 7
38-700 Ustrzyki Dolne

Redakcja techniczna:
Adam Leń

Korekta:
Barbara Ćwikowska

Rysunki i projekt okładki:
Iwona Piecuch

ISBN 83-88505-85-8

Copyring by Bieszczadzki Park Narodowy

Wydano ze środków
Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej

Druk i oprawa:
Drukarnia „Piast Kołodziej”, Sanok, Cegielniana 54
tel/fax (13)46 324 94, 46 45 100

DZIWNY PASAŻER

Podróż pociągiem do Zagórza była długa i męcząca. Wyszli na małej stacji. Wyszli z wagonu na peron.

Ciocia Maryla powiedziała, że dalej pojedą samochodem.

Karolina nie zdążyła jeszcze porozglądać się w nowym miejscu, a już wyrósł przed nią, jak spod ziemi, wuj Jan.

- Nareszcie się doczekałem! – wykrzyknął uradowany. Chwyił Karolinę w pól, podrzucił ją w powietrzu jak piłkę, całował w policzki kłując przy tym dziewczynkę niemiłosiernie swoimi nastroszonymi wąsiskami.

Z Pawłem przywitał się jak z dorosłym mężczyzną.

- No, no, no – powiedział patrząc z uznaniem na chłopca. – Kawał chłopca z ciebie wyrosło. Kiedy mnie nie będzie w domu, o bezpieczeństwo kobiet mogę być spokojny.

- O tak – potwierdziła ciocia Maryla. – na Pawle można polegać jak na Zawiszy.

Karolina była dumna, że Paweł jest tak poważnie traktowany przez dorosłych. Szkoda, że nie słyszy tego mama, która ciągle uważa go za dzieciaka. Chociaż przed ich wyjazdem w Bieszczady powiedziała, że po powrocie z wakacji wiele się pod tym względem zmieni.

- Zbieramy się. Już, już – poganiał ich wuj Jan. – Przed nami jeszcze kawał drogi. Ponad dwie godziny jazdy – tłumaczył zaskoczonym dzieciom swój pośpiech.

Chwyił bagaże i poprowadził ich na parking za stacją. Wszedli do samochodu. Trzasnęły drzwi. Zagadał silnik. Ruszyli.

Jechali wąską asfaltową szosą, która wznosiła się, opadała pełna ostrych zakrętów, karkołomnych zjazdów i serpentyn. Po obu stronach ciągnął się ciemny nieprzenikniony las. Co pewien czas wjeżdżali do małej wioski, przejeżdżali przez nią nie wiadomo kiedy i znowu zewsząd otaczał nieprzenikniony las.

Zmęczenie podróżą, miarowy warkot silnika, łagodne kołysanie samochodu sprawiły, że Karolina zasnęła.

Kiedy otworzyła oczy, samochód stał na poboczu drogi. Przez szybę ujrzała barczystego, dziwnie odzianego mężczyznę. Ubrany był w skózaną kurtkę z frędzlami, żółtą koszulę i wytarte dzinsy wsunięte w cholewki wysokich butów. Na głowie miał kapelusz z fantazyjnie wygiętym rondem.

- O! Państwo Ostrowscy – ucieszył się nieznajomy. – Co za szczęście, że was spotykam. Mam nadzieję, że pan Jan nie odmówi pomocy nieszczęsnemu jeźdźcowi.

- Co? znowu ten narowisty konik? – spytał wuj Jan i parsknął śmiechem.

- Widzę, że moja prywatna, długo skrywana tajemnica, stała się tajemnicą całych Bieszczadów – powiedział nieznajomy. – Tak, tak. Niestety. Znowu ta przewrotna Gwiazdka mnie tak urządziła. Zszedłem z siodła, puściłem jej cugle, zlitowałem się nad nią zamiast ją uwiązać, no i bryknęła zostawiając mnie w połowie drogi do domu.

- Daleko nie ucieknie. Ludzie w okolicy znają ją, złapią i odprowadzą – pocieszył wuj Jan nieznajomego.

- Znam jej narowy, więc się jej ucieczką specjalnie nie zmartwiłem. Pewnie już jest w Berehach i chrupie owies. Gdybym nie sprawił państwu kłopotu, chętnie skorzystałbym z usług waszych mechanicznych koni. Głupio wracać pieszo w tym stroju. Gdyby zobaczyli mnie ludzie, znowu rozniosłoby się po górach, że spotkali błędnego rycerza.

- Pan jest błędnym rycerzem? – zaciekawiała się Karolina.

- Tak księżniczko – powiedział poważnym tonem nieznajomy i mrugnął do wuja Jana. – Chętnie kiedyś opowiem ci o tym. A teraz, jeżeli pozwolisz, usiądę obok twojego giermka – dodał wciskając się na siedzenie obok Pawła.

- To Paweł, mój brat – wyjaśniła pośpiesznie dziewczynka. - A ja jestem Karolina.

- Dla mnie jesteś księżniczką – stwierdził nieznajomy.

Samochód ruszył. Ciocia Maryla uśmiechała się rozbawiona. Wuj Jan wygwizdywał skoczną melodię.

Karolina przyglądała się uważnie tajemniczemu nieznajomemu.

Kapelusz miał pognieciony, poprzecierany od długiego noszenia. Jego brązowy kolor wypłowił na słońcu i stał się teraz szaro-rudy. Postać nieznajomego nie wydawała się dziewczynce taka dziwna i tajemnicza jak na początku.

- Gdzie pan mieszka?

Nieznajomy spojrzął na Karolinę. Twarz miał spaloną słońcem, pobrużdżoną, zwyczajną, zupełnie nie rycerską.

- W Leśny Dworze, księżniczko.

- Tutaj są dwory? – zdziwiła się.

- A czy rycerz może mieszkać gdzie indziej, niż we dworze.

- No tak – zgodziła się z nim Karolina. – To prawda. Rycerze mieszkają w dworach, albo w zamkach. A gdzie jest ten dwór? – nie potrafiła oprzeć się ciekawości.

- Niedaleko stąd – odparł nieznajomy i dodał. – Niedaleko, ma się rozumieć, jak na bieszczadzkie warunki. Jakies siedem, osiem kilometrów, ale droga tam kiepska, nie na takie autko, jak ma pan leśniczy – tłumaczył. – O! Tutaj bym wysiadł – zwrócił się do wuja Jana – gdyby był pan łaskaw się zatrzymać. Stąd, na przelaj, mam już całkiem niedaleko.

Samochód stanął. Dziwny pasażer wysiadł.

- Do zobaczenia księżniczko – powiedział do Karoliny. – Jestem pewny, że jeszcze się zobaczymy.

LEŚNICZÓWKA

Niebo zaciągnęło się chmurami. Nad górami wisiąca gęsta mgła. Padało bez przerwy. Deszcz dzwonił o szyby, bębnił w blaszanych rynnach. Wuj Jan powiedział, że dopóki chmury zasłaniają połoniny, na poprawę pogody nie ma co liczyć.

Karolina była niepokieszona.

Paweł chodził od okna do okna i z utęsknieniem wyglądał słońca.

Dzieci wstały wcześnie. Właściwie musiały, ponieważ do wstania zmusił je Nord – wyżeł krótkowłosa wyjątkowej urody. Pies wysoki, o mocnych łapach, gładkiej jak jedwab sierści w brązowo-szare łaty, o spojrzeniu rozumnym, usposobieniu łagodnym, przyjacielsko nastawiony do otoczenia. Uwielbiał towarzystwo dzieci. Nie było w okolicy lepszego opiekuna i wierniejszego przyjaciela niż Nord. Pies wpadł do pokoju śpiących dzieci. Wskoczył na łóżko Pawła, potem Karoliny, trącał ich wilgotnym nosem, popiskiwał, złościł się.

Paweł obudził się pierwszy i obserwował Norda przez półprzymknięte powieki. Chciał zatrzymać psa przy sobie, lecz ten wyrwał się z rąk chłopca i wdrapał się na łóżko Karoliny. Dziewczynka spała kamiennym snem. Nord trącał ją pyskiem, skomlał, zeskakiwał z łóżka, podbiegał do wuja Jana, siadał przed im z zadartym łbem patrząc mu błagalnie w oczy. Robię, co w mojej mocy, a ona ciągle śpi – zdawały się mówić jego brązowe ślepia.

Wuj Jan podszedł do łóżka, pochylił się. W ręce trzymał ptasie piórko i począł łaskotać nim Karolinę po twarzy, szyi, odkrytych

ramionach. Dziewczynka marszczyła się, krzywiła, opędzała się przed łaskoczącym ją piórkiem jak przed natrętną muchą, ale oczy miała ciągle zamknięte.

Nord przyglądał się poczynaniom wuja Jana, przebierał łapami, merdał ogonem. W końcu nie wytrzymał. Jednym susem wskoczył na łóżko i począł lizać Karolinę gdzie popadło.

Dziewczynka otworzyła oczy, krzyknęła i wystraszona schowała się pod kołdrę. Nie chciała wyjść spod niej za żadne skarby. Nie przekonały jej prośby wuja Jana ani tłumaczenia Pawła. Nie dopomógł również Nord, który pchał się pod kołdrę, jakby chciał przeprosić dziewczynkę za popełniony nietakt. Nie mogło biedne psisko zrozumieć, że jest na świecie ktoś, kto zwyczajnie boi się go.

Nie wiadomo czym zakończyłoby się to całe zamieszanie, gdyby nie ciocia Maryla. Usłyszawszy szczekanie psa i krzyk Karoliny, wpadła do pokoju jak burza. Norda wypędziła na podwórko. Wuja Jana, który próbował tłumaczyć jej całe zajście, do kuchni. Ciocia Maryla nie pobłażała winowajcom. Potrafiła wiele wybaczyć, ale umiała być również bardzo stanowcza.

- Za swoje winy trzeba pokutować, bo inaczej nauka idzie w las i winowajca niczego się nie nauczy – twierdziła.

- Dlaczego akurat w las? – sprzeciwiał się wtedy wuj Jan. – Czy nie ma już na świecie miejsc gorszych niż las? – wołał oburzony.

- Dobrze, dobrze – odpowiadała niewzruszona ciocia Maryla. – Ja już swoje wiem i żaden bieszczadzki filozof mnie nie przekona.

Po południu niebo zaczęło się przecierać. Deszcz ustał. Mgła roziała się odsłaniając górujący nad Wetliną szczyt Berda. Zza chmur wyrzało nieśmiałe słońce. W olchach i leszczynach, otaczających leśniczówkę, rozśpiewały się ptaki.

Karolina buszowała po leśniczówce. Wszystko tutaj było dla niej nowe, ciekawe. Spodobał się jej pokój gościnny. Ściany miał wyłożone jasną boazerią. Centralne miejsce zajmował kominek z siwego kamienia. Przed kominkiem stały dwa fotele z ciemnoczerwonej skóry. Po obu stronach kominka wisiały poroża jeleni. Jedne olbrzymie, rozłożyste, podobne do uschniętych konarów drzew. Inne małe, zupełnie małe, cienkie i szpiczaste, ale jakby wierne kopie tamtych olbrzymów.

Na przymocowanych do ścian gałązkach siedziały nieruchome ptaki. Duże i małe. Czarne. Siwe. Kolorowe. Z przekrzywionymi łepkami, ostrymi dziobkami, szponiastymi pazurkami. Ogonki długie i krótkie, wąskie i szerokie, jednobarwne i tęczowe. Jedne

miały nastroszone piórka, inne siedziały smutne, osowiałe. Jedne miały skrzydełka złożone, inne rozpostarły je, jak gdyby właśnie w tej chwili zrywały się do lotu.

Karolina usiadła w fotelu, zapatrzyła się, zapomniała o całym świecie. Ocknęła się, gdy usłyszała za sobą głos cioci Maryli.

- Aaaa, tutaj jesteś. Widzę, że spodobał ci się pokój wujka.

Karolina skinęła potakująco głową.

- To jest wujka ostoja. Kiedy jest mu ciężko na duszy, gdy coś go martwi, gnębi, nie daje mu spokoju, wtedy przychodzi tutaj, siada w fotelu, myśli, zastanawia się i wyfruwa stąd wesolutki jak szczygieł – wyjaśniła dziewczynce ciocia Maryla.

- A co to jest, ciociu, ostoja? – zaciękała się Karolina.

- To miejsce w którym chowa się zwierzę, odpoczywa w nim, nabiera sił, wraca do zdrowia. Ale ponieważ ty jesteś zdrowa jak koń i na pewno głodna jak wilk, więc marsz na obiad. Wszyscy już dawno są przy stole.

PRZYJACIELE

Karolina nie rozstawała się z Nordem. Wyżeł odwdzięczał się dziewczynce niespotykaną wiernością nie odstępując jej nawet na krok. Karolina zawładnęła jego sercem. Pies nie słuchał cioci Maryli, nie reagował również na polecenia wuja Jana.

- Rozbisurmaniło się nasze psisko jak dziadowski bicz – powiedział wuj Jan do cioci Maryli. – Tak dalej być nie może. Trzeba będzie wziąć go na łańcuch.

Karolina rozumiała, że jej przyjaciel znalazł się w poważnych tarapatach. Żal ścisnął jej serce, gdy patrzyła w jego brązowe, rozumne ślepia. Nie wyobrażała sobie jak można Norda uwięzić na łańcuchu. Postanowiła temu zapobiec, ale nie wiedziała jeszcze, jak. Była pewna, że jeżeli Nord będzie nadal swoim zachowaniem sprawiał kłopoty, wuj Jan spełni groźbę.

Nord był jednak nadzwyczaj mądrym psem. Zrozumiał, a może wyczuł, co mu grozi i zachowywał się odtąd bez zarzutu nie dając najmniejszych nawet powodów do narzekań.

- Mądrego mamy pieska, co Marylka? – cieszył się wuj Jan. – Moja szkoła – nie omieszkał pochwalić się przed domownikami.

- O tak – zgodziła się z nim ciocia Maryla mrugając przy tym porozumiewawczo do dzieci – przecież jesteś leśnikiem i wiesz jak postępuje się ze zwierzętami.



- Nooo, taki zadufany to ja jeszcze nie jestem – bronił się wuj Jan. – Karolinka okiełznała sercem rogaty charakter Norda lepiej niż ja swoją tresurą – stwierdził i obwieścił oficjalnie, że rezygnuje z wykonania zapowiedzianej kary.

Wieczorem, po powrocie z pracy, wuj Jan przeniósł postanie psa do pokoju dzieci.

- A mam inne wyjście? – zapytał zdziwioną ciocię Marylę. – Przyjaźń to zbyt piękne i ważne uczucie, żeby stawiać mu przeszkody.

Nord leżał na swoim postaniu nieruchomo niczym głaz. Gdy w leśniczówce pogasły światła i ustał wszelki ruch, pies czołgał się do Karoliny i trącał jej rękę wilgotnym nosem. Dziewczynka uchylała róg kołdry. Pies gramolił się do łóżka, układał się w nogach Karoliny, wzdychał jak człowiek i zasypiał szczęśliwy. Kiedy dziewczynka budziła się rano, Nord, jak gdyby nic, leżał już na swoim postaniu. Gdy do pokoju dzieci wchodził wuj Jan, z jego usta padał rozkaz.

- Nord! Obudź swoją panią!

Łatwo sobie wyobrazić, co wtedy działo się w pokoju.

W piątek wuj Jan pojechał do pracy o świcie. Pracownicy Bieszczadzkiego Parku kończyli w tym dniu znakowanie ścieżki przyrodniczej na Połoninie Wetlińskiej. Budzenie dzieci spadło więc na ciocię Marylę. Kiedy ciocia weszła do pokoju, Nord zerwał się ze swojego postania i wdrapał się na łóżko Karoliny.

- Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby zobaczył to wujek – ciocia załamała ręce. – Od kiedy ona tak się zachowuje? – zapytała Karolinę.

- Pierwszy raz – skłamała dziewczynka.

Karolina chciała zepchnąć psa na podłogę. Jednak nie dała rady. Nord leżał jak kłoda. Nic sobie nie robił z jej wysiłków.

- Nie chce zejść – usprawiedliwiała się bezradna Karolina.

Ciocia Maryla podeszła do łóżka.

- Zejdź! – rozkazała psu ostrym głosem pokazując mu równocześnie palcem podłogę.

Pies ani drgnął. Rozpląszczył na łóżku się i wlepił w ciocię błagalne spojrzenie swoich brązowych ślepiów.

- Ja chyba też nie dam rady – ciocia rozłożyła bezradnie ręce. – Patrzy na mnie tak pokornie, litościwie, że nie potrafię go przepędzić. Pal licha, niech zostanie – machnęła z rezygnacją ręką.

Karoliną pisnęła z radości. Wskoczyła z łóżka i rzuciła się cioci na szyję.

- No dobrze już, dobrze – broniła się nieporadnie ciocia Maryla przekupiona czułościami dziewczynki. – Tylko ani słowa o tym wujkowi. Przynajmniej na razie – dodała, jakby na swoje usprawiedliwienie. – Wspieram kłamstwo – westchnęła ciężko. – I to z czyjego powodu? – spytała. – Z powodu takiego drania – pokazała palcem na rozwalonego na kołdrze Norda. – To jest po prostu niesłychane. To nie mieści się w głowie. Dobrze, że nie ma wujka. On by mi tego nie darował.

- Ciociu, nie martw się – prosiła Karolina. – Przecież to kłamstewko jest zupełnie nieszkodliwe i nie wyrządzi nikomu krzywdy – dziewczynka starała się ułagodzić ciocię Marylę.

- Ja też tak uważam – poparł siostrę Paweł. – Są sytuacje kiedy kłamstwo staje się służą dobrego – skwitował filozoficznie.

Ciocia Maryla spojrzała na Pawła badawczo, chciała mu coś odpowiedzieć, lecz nagle złapała się za głowę. – O matko jedyna! Mleko na kuchni! – krzyknęła i wybiegła pędem z pokoju dzieci.

TAJEMNICA BERDA

W pokoju było cicho, przytulnie. W kominku trzaskał ogień. Po ścianach błądziły wielkie cienie. Przez okno zaglądał ciekawski księżyc. Gdyby nie musiał oświetlać ścieżek zabłąkanym podróżnym, chętnie przycupnąłby na gzymsie kominka.

Karolina leżała na owczej skórze. Wuj Jan rozścielił ją na podłodze na wprost kominka. Dziewczynka położyła się na brzuchu, brodę podparła rękami i wpatrywała się w płomienie. Obok niej rozwalił się zadowolony Nord. Lubił, gdy wszyscy domownicy zbierali się w jednym miejscu. Leżał na boku, ślepią miał przymkniętą. Drzemał. Co pewien czas podnosił łeb, rozglądał się po pokoju sprawdzając, czy są wszyscy, wzdychał uspokojony i znowu zapadał w drzemkę.

Wuj Jan miła świetny humor. Opowiadał wesołe historyjki, śpiewał dowcipne piosenki wtórując sobie na gitarze, naśladował głosy dzikich zwierząt.

Karolina była bardzo szczęśliwa. Dziewczynce wydawało się, że siedzą tutaj od zawsze objadając się smakołykami cioci, śmiejąc się i żartując beztrudnie. Była przekonana, że wszyscy

na świecie są teraz też tacy szczęśliwi jak ona. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie.

- A teraz – powiedział półgłosem wuj Jan – ciocia wyjawি nam tajemnicę Hnatowego Berda.

Ciocia Maryla wzbraniała się, opierała, ale w końcu dała za wygraną i zaczęła swoją opowieść.

- Dawno, dawno temu, tu, gdzie obecnie mieszkamy, ciągnęła się nieprzebyta puszcza karpacka. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rosły potężne buki, rozłożyste jawory, strzeliste jodły i cisy. Ludzie, którzy tędy podróżowali, przepadali często bez śladu. Jeżeli udało się im przebyć dzikie bory, uniknąć zbójców i drapieżnych zwierząt nie oznaczało to wcale, że byli bezpieczni. Na ich drodze wyrastało niebezpieczeństwo po stokroć groźniejsze – dwór w Berehach. Jego panem był rycerz Hnat, nazywany Biesem. Zły był z niego człowiek, okrutny, nie znający litości. Napadał na podróżujących bieszczadzskimi szlakami, odbierał im pieniądze, kosztowności ich samych sprzedawał Tatarom w jasyr, albo więził ich w jaskini nad potokiem Caryńskim. Omijali ludzie Berehy szerokim łukiem. Wystrzegali się spotkania z Biesem. Jemu już nie wystarczało rabowanie w Bieszczadzie. Zasadzał się na kupców w Roztokach, Beskidzie, Użoku. Wyprawiał się też na węgierką stronę. Ludzie mówili, że opętało go złoto. Hnat nikomu nie ufał. Wszędzie wietrzył podstęp i zdradę. Zdobyte na zbójceckich wyprawach talary i kosztowności pakował do beczek i zakopywał na Berdzie, pod samotną skałką. Długie lata Pan z Berehów siał w Bieszczadzie trwogę i nieszczęścia. Zdawało się, że złu nie będzie końca. – Ciocia Maryla przerwała opowiadanie, dołożyła dREW do kominka i po chwili przerwy ciągnęła swoją opowieść dalej. - Pewnej jesieni wrócił Hnat z wyprawy na węgierską ziemią. Przywiózł stamtąd znaczne łupy i brankę, dziewczynę wielkiej urody. Cerę miała bielušką jak śniegi na połoninie, oczy zielone jak wody Wetlinki, usta jak dojrzałe grona jarzębiny, postać śmigłą i gibką jak cisy na górze Jawor. Wieść o urodzie branki rozeszła się lotem błyskawicy. Przyjechał do Berehów chan tatarski, Asan Pasza, przyjaciel i wspólnik złego dziedzica. Ujrzał chan dziewczynę i zakochał się w niej bez pamięci. Nie spodobało się to Hnatowi. On również zakochany był w brance i miał względem niej swoje plany. Zrozumiał Asan Pasza, że pięknej dziewczyny od Hnata dobrowolnie nie dostanie. Wrócił więc do siebie i rozpoczął przygotowania do zbrojnego najazdu na Berehy.

Nie dla chana i nie dla Hnata przeznaczona była piękna dziewczyna na żonę. Innemu ślubowała wierność. Przybył z Węgier śladem swojej ukochanej do Berehów. Krył się po lasach, krążył wokół Hnatowego dworu, śledził dziedzica i jego kamratów. Miejscowi ludzie nazwali przybysza błędnym rycerzem. Doniesiono o nim Hnatowi. Urządził zasadzkę na błędnego i rycerza, pojmał go i uwięził w jaskini nad Caryńskim potokiem.

Piękna branka zgodziła się zostać żoną Hnata, jeśli w zamian daruje życie uwięzionemu. Uwolnił Hnat błędnego rycerza i kazał przepędzić go z Bieszczadu. Ten jednak powrócił przebrany za drwala. Ciął las, zbierał żywicę, wypalał węgiel i czekał na sposobną chwilę.

Nie czekał długo. Na Berehy napadł Asan Pasza. Bitwa była krwawa, długa, zażarta. Nikt nie znał litości. Nikt o litość nie prosił. Zginął zły Hnat i wielu jego kompanów. Padł w bitwie chan i jego Tatarzy. Niewielu uszło z życiem z tej krwawej jatki.

Skorzystał błędny rycerz z bitewnego zamieszania i wyprowadził ukochaną z płonącego dworu. Jednak pogubili się niebogi podczas ucieczki w gęstych lasach i do dzisiaj odnaleźć się nie mogą. Błądzą po jarach i ostępach, nawołują się wzajemnie. Na próżno. Sami się nie odnajdą. To kara dla dziewczyny za złamanie świętej przysięgi i poślubienie złego dziedzica z Berehów.

Skarby Hnata przepadły bezpowrotnie. Tam, gdzie je zakopał, powstało źródło. Ludzie nazwali je Czarcim Źródłem, zaś górę na której się znajduje, Hnatowym Berdem. Woda w nim zepsuta, wstrętna, cuchnąca ale ma w sobie wielką moc. Kto wstręt do niej przewycięży i napije się jej, ten kłątwe z nieszczęsnych kochanków zdejmie, sprawi, że odnajdą się i połączą się na zawsze – ciocia Maryla umilkła.

W pokoju panowała cisza. Nikt się nie odzywał. Wszyscy patrzyli, jak w kominku chciwe płomienie pożerały brzoźowe polana.

FUNIA

Karolina otworzyła oczy. Podniosła głowę. Pokój zalało słoneczne światło. Paweł zniknął. Jego łóżko było porządnie zaścienione. Nord także przepadł. W całym domu panowała dziwna cisza.

Dziewczynka wstała z łóżka. Otworzyła drzwi do kuchni. Na stole stały talerzyki z kanapkami. Obok, w fajansowych kubkach, wystygłe kakao, na którym zrobił się już gruby kożuch.

Nagle do uszu Karoliny dotarło przytłumione szczekanie psa.

Dziewczynka wybiegła na podwórko. Szczekanie dochodziło z drewnutni – małej szopki z nieheblowanych desek. Postawił ją wuj Jan. Trzymał w niej swoje gospodarskie narzędzia. Drzwi szopy były zamknięte. Spoza nich dobiegały podniesione głosy ciotki Maryli i Pawła. Oboje rozprawiali o czymś z wielkim ożywieniem. Karolinie zdawało się, że się sprzecają ze sobą.

- Ciotciu! – krzyknęła wystraszona dziewczynka. – Jesteście tam!
- O mój Boże – doleciał ją zatrwożony głos ciotki Maryli. – Zupełnie zapomniałam o dziecku.

Drzwi drewnutni zaskrzypiały i otworzyły się na całą szerokość. Wyskoczył przez nie Nord i zaczął swój powitalny taniec.

- Dziecinko! Przecież ty jesteś boso! – zawołała ciocia. – Przeziębisz się! Rozchorujesz! – lamentowała.

Podniosła Karolinę z ziemi, przytuliła ją do siebie.

- A teraz prędko do domu. Musisz się rozgrzać. Stopy masz lodowate. Rozchorujesz się jak nic – biadolila bez ustanku ciocia Maryla. –Wszystko przez tą nieszczęsną Funię. Oj! będę teraz miała za swoje – narzekła zmartwiona.

- Jaką Funię?

- Nie teraz dziecinko. Nie teraz – zniecierpliwiała się ciocia Maryla. – Potem dowiesz się wszystkiego. Jak się rozgrzejesz, dojdiesz do siebie, przestaniesz trząść się jak osika.

Zaniosła Karolinę do leśniczówki, położyła dziewczynkę do łóżka, otuliła ją kołdrą, narzuciła na nią dwa wełniane koce, kazała połknąć polopirynę i wypić szklankę, gorącej jak ogień, lipowej herbaty.

Dziewczynce zrobiło się bardzo gorąco. Chciała zrzucić z siebie okrycie. Ciocia przytrzymała ją delikatnie za ręce.

- Tak trzeba, dziecinko – przekonywała ją spokojnie. – Tak trzeba.

Karolina spostrzegła, że ciocia Maryla uspokoiła się. Twarz ciotki pojaśniała, spojrzenie jej niebieskich oczu wypogodziło się.

- Miałaś mi, ciotciu, powiedzieć o tej Funi – przypomniała.

- Aaa, prawda – westchnęła ciocia. – Zupełnie zapomniałam. To sarenka. Malutka. Bezbronna. Taka, która jeszcze ssie mamę.

- A czemu jest sama? Gdzie podziała się jej mama?

- Została w lesie.

- To skąd wzięła się u nas? W drewnutni?

- Paweł ją przyniósł.
- Paweł? – Karolina nie mogła uwierzyć.



- I w tym właśnie cały kłopot. Paweł twierdzi, że znalazł ją w zagajniku, że sama na pewno zginęłaby, więc zabrał ją do leśniczówki – tłumaczyła ciocia. – Nie mam prawa nie wierzyć mu. Paweł to rozsądny i mądry chłopiec.
- Czy to oznacza, że zrobił źle? – zaniepokoiła się Karolina.
- Trudno powiedzieć – ciocia rozłożyła ręce w niemym geście bezradności.
- A gdzie ją znalazł?
- Niedaleko Czarciego Źródła.
- Oj! Mamuś! – pisnęła przerażona dziewczynka. – Ja tam nie pójde za żadne skarby i nie chcę, żeby Paweł tam chodził. Zabroń u ciociu, dobrze – prosiła.
- Och, ty mój strachliwy króliczku – roześmiała się ciocia i przytuliła dziewczynkę mocno do piersi. – Wszystkiego się boisz.
- Bo tamto miejsce jest straszne.
- To tylko legenda, dziecinko – tłumaczyła ciocia Maryla. – Bajka wymyślona przez ludzi.
- A nie było tak, jak nam opowiadałaś? – zdziwiła się Karolina.
- Kiedyś może było. Dzisiaj, mogę ci zaręczyć, że na pewno już nie jest.
- To po co ludzie wymyślają takie okropne bajki?
- Bo wierzą, że w prawdziwym życiu może też być tak, jak w bajce. Kto jest człowiekiem złym, ten będzie za to zło czynione innym ukarany, zaś dobry za swoją dobroć zostanie nagrodzony.
- Błędny rycearz jest dobrym człowiekiem?
- Oczywiście – odparła z przekonaniem ciocia Maryla. – Przecież uwolnił z rąk Hnata ukochaną osobę.
- Ale mnie chodzi o tego z drogi.
- Lepszego niż on próżno szukać – powiedziała poważnie ciocia.
- A teraz musisz zasnąć. Inaczej choroba pewna. Nord! – zawołała psa i podniosła kołdrę. – Wskakuj! Grzejesz jak piec. W tobie cała moja nadzieja.

CHOROBA

Karolina zachorowała. Nie pomogła jej ani polopiryna, ani zimne okłady, ani gorąca herbata z malinowym sokiem. Nie spełnił pokładanych przez ciocię Marylę nadziei Nord grzejący niczym piec.

Karolina leżała w łóżku przykryta kołdrą, przywalona po czubek nosa wełnianymi kocami. Co z tego, że ciocia podsuwała

jej smakołyki, kusila i zachęcała ją do jedzenia. Nie smakowały jej. Nie miała apetytu. Bolały ją mięśnie. Łamało ją w stawach. Męczył ją kaszel i katar.

- Spróbuj przełknąć odrobinę – namawiała ją ciocia Maryla. – Musisz, inaczej całe wakacje spędzisz w łóżku.

- Jedz! – rozkazywał Paweł podsuwając Karolinie talerzyk pachnących malin. – To witaminy. Samo zdrowie.

Karolina zmuszała się do przełknięcia kilku. Więcej nie mogła. Kłuły ją w gardle, jakby miały kolce.

- No... jak dzisiaj się czujesz? – pytał zatroskany brat przynosząc jej w glinianym kubku leśne poziomki.

- Jak tam dzisiaj temperatura? Może po chorobie nie ma śladu, a my o tym nawet nie wiemy – mówiła ciocia Maryla podając Karolinie termometr.

Dziewczynka wsuwała go pod pachę. Ciocia w tym czasie poprawiała poduszkę pod jej głową, wygładzała prześcieradło, otulała Karolinę kołdrą.

- Ho, ho, ho – ciocia Maryla patrzyła zatroskana na termometr kręcąc z niedowierzaniem głową. – Jeszcze sobie poleżymy – mówiła i pędziła do kuchni zaparzyć ziółka.

Karolina nie znosiła ich. Były niesamowicie gorzkie, wstrętne, nie do przełknięcia. Chociaż na pewno skuteczne, bowiem po wypiciu ich dziewczynka czuła się silniejsza. Spadała jej także gorączka, przestawał męczyć ją kaszel, wracał jej apetyt. Ciężko było wtedy wytrzymać w łóżku. Karolina wierciła się niespokojnie, przewracała się z boku na bok. Coś uwierało ją w plecy. Łaskotało. Swędziało. Gryzło. Leżenie stawało się dla dziewczynki udręką.

- Ciociu? – zagadywała Karolinę ciocia Maryla. – Może ja już wstanę?

- Coś podobnego – srożyła się ciocia. – Nie ma mowy. Dość napędziłaś nam strachu. Cztery dni gorączkowałaś. Dwa razy wzywaliśmy pogotowie.

- Nie pamiętam – zdziwiła się.

- A widzisz? To jest dowód, w jakim byłaś stanie.

Karolina wzdychała zrezygnowana. Nie było rady. Trzeba leżeć. Dobrze chociaż, że był przy niej Paweł. Z nim się nie nudziła. Miała przynajmniej z kim porozmawiać.

- Co tak sterczysz w tym oknie? – zdenerwowała się Karolina widząc, że jej brat kręci ciągle koło okna.

- Zaprowadziłem Funię do ogródka. W ogrodzeniu są dziury i boje się, żeby nie wydostała się na zewnątrz.

- Ciocia mówiła, że uratowałaś sarenkę życie.
- Ciocia przesadza – chłopiec wzruszył ramionami, ale widać było, że pochwała cioci sprawiła mu przyjemność.
- Jak ją odkryłeś.
- Przez przypadek. Szedłem na Berdo skrótem i usłyszałem płacz dziecka. Takie cichutkie kwilenie, jakby ktoś się skarżył. Dochodziło ze świerkowego zagajnika. Wszedłem tam i znalazłem sarenkę. Była wystraszona, trzęsła się cała. Żal było na nią patrzeć. Siedziałem przy niej, głaskałem ją, mówiłem do niej i wtedy jakby się uspokajała. Kiedy odchodziłem od niej, znowu kwiliła. Dlatego wziąłem ją do domu. Nie wiedziałem, że nie należy tego robić, a co najgorsze, dotykać jej. Kiedy matka wróci i poczuje zapach człowieka, porzuci swoje dziecko na zawsze, jakby było nie jej, ale cudze, obce. Gdy dowiedziałem się o tym od wujka, było już za późno. Myślałem, że z Funią będzie inaczej, że jej się uda. Uprosiłem wujka i zanosiliśmy ją na Berdo, w miejsce, gdzie ją znalazłem.
- Ha!... to ja już wiem, dlaczego ciebie nie było w domu całymi dniami.
- Wujek powiedział, że sprawa Funi jest beznadziejna i on nie wierzy, że jej matka kiedykolwiek zbliży się do niej. Miał, niestety, rację – szepnął ze smutkiem Paweł.
- Nie przysłała do Funi?
- Nie.
- Ani razu?... nawet popatrzeć na nią?
Paweł rozpostarł ręce w niemym geście.
- Co to za wstrętna, niedobra matka – oburzyła się Karolina.
- Ona nie jest winna, ponieważ jest dzikim zwierzęciem, a dzikie zwierzęta kierują się instynktem. To instynkt podpowiedział jej, że tak właśnie ma się zachować.
- Co teraz będzie z Funią? – zmartwiła się dziewczynka.
- Teraz? – Paweł zmarszczył czoło. – Cóż – westchnął – muszę zastąpić jej matkę.
- A to dopiero nowina – Karolina plasnęła w ręce i patrzyła z podziwem na brata.

ZAGADKOWE ZNIKNIĘCIE

Funia była ostrożna, nieufna, płochliwa. Trzeba było mieć ją ciągle na oku. Najpewniej czuła się w ogródku cioci. Maszerowała po nim tam i z powrotem na swoich cieniutkich jak

patyczki, nóżkach. Obchodziła grządki, obwąchiwała je sprawdzając czy to, co rośnie na nich, pachnie tak, jak powinno. Zatrzymywała się przy koperku, cebuli albo czosnku, marszczyła chrapy i fuczała. Nie znosiła ich zapachu.

Obchód ogródka nie był bezcelowy. Funia wybierała odpowiednie miejsce na spoczynek. Raz była nim grządka marchewki, innym razem pietruszki, a jeszcze innym kwiatowa. Jeżeli omijała szerokim łukiem czosnek albo koper, wiadomo było, że położy się wśród kwiatów. Gdy rozmyślnie zahaczyła o grządkę cebuli, można było być pewnym, że będzie odpoczywała w marchwi. Kiedy na miejsce drzemki wybierała pietruszkę, przez cebulę maszerowała z wysoko zadartym pyszczkiem. Czym akurat ten, lub też inny jej wybór był spowodowany, można było tylko snuć przypuszczenia, chociaż wuj Jan twierdził, że zależał on wyłącznie od widzimi się Funi.

- Ale z niej mądrała – nie mógł nadziwić się Paweł pomysłowości swojej podopiecznej.

Ciocia Maryla wznosiła oczy do nieba, wzdychała i odwracała się plecami. Nie chciała być świadkiem tego, co działo się z jej ukochanym ogródkiem.

Pojawienie się Funi w leśniczówce sprawiło, że dzieciom przybyły obowiązki. Paweł, przed śniadaniem, szedł do sąsiadów po mleko dla sarenki. Musiało być świeże, z porannego udoju. W czasie nieobecności Pawła Funią zajmowała się Karolina. Nie było to zajęcie trudne, ani zbyt uciążliwe. Dziewczynka musiała pilnować, żeby sarenka nie wydostała się z ogródka. Drewniane ogrodzenie było liche, sztachety mocno nadwerężone. Gdyby Funia naparła na którąś z nich mocniej swoim ciałem, złamałaby ją jak zapalkę.

Kiedy Paweł przynosił mleko, odbywało się karmienie sarenki. Funia piła je z butelki, przez smoczek. Raz sarenką karmił Paweł, następnym razem Karolina.

Dziewczynka coraz więcej czasu i uwagi poświęcała sarence zapominając zupełnie o Nordzie.

Pies zaczął zachowywać się dziwnie. Przestał chodzić za Karoliną jak cień. Gdy zorientował się, że dziewczynka idzie do Funi, zawracał do leśniczówki, kładł się na kamiennych schodach i wodził za Karoliną smutnymi ślepiami.

Jeszcze budził dziewczynkę rano. Jeszcze był przez nią wpuszczany pod kołdrę, przytulany, głaskany, tarmoszony za uszy, ale wtedy tylko, kiedy dopominał się o to szczekaniem,



albo kładł pysk na jej kolanach i patrzył na nią błagalnym wzrokiem.

W piątek Nord znikł – zapadł się pod ziemię.

Dzieci, zajęte Funią, nie zauważyły jego nieobecności.

Pierwsza zorientowała się ciocia Maryla. Na obiad był kurczak. Kości, przysmak Norda, ciocia zostawiła dla niego, jak zwykle, w blaszanej misce. Do późnego popołudnia stały nietknięte.

- A to co znowu? – zdziwiła się ciocia.

- Coś mi się, ciociu, wydaje, że Norda nie ma w domu od rana – powiedział zaniepokojony Paweł. – Kiedy szedłem po mleko dla Funi, wypuściłem go na podwórko. Do domu nie chciał iść, ze mną też nie. Położył się na schodach i tam widziałem go raz ostatni.

- Może wujek zabrał go ze sobą do lasu? – zastanawiała się ciocia.

Obeszli dom dookoła, podwórko, zaglądnięli do drewnitni. Norda jednak nie znaleźli. Pies przepadł.

- Wychodzi na to, że jednak poszedł z wujkiem – orzekła ciocia.

Paweł nie był o tym przekonany. Czekał na wuja Jana. Im bliżej było do jego powrotu z pracy, tym większy niepokój ogarniał chłopca. Paweł miał rację. Wuj Jan wrócił, ale Norda z nim nie było. Okazało się, że wuj zamierzał zabrać psa z sobą, lecz w ostatniej chwili zrezygnował, ponieważ musiał jechać w ważnych sprawach do Ustrzyk Dolnych.

Paweł snuł różne przypuszczenia co do zagadkowego zniknięcia Norda. Wuj Jan nie podzielał jego obaw. Bagatelizował je, chociaż sam również był zaniepokojony losem psa.

- Pewnie się obraził – powiedział. – Jeżeli kogoś polubi to na dobre i złe. Ale jest za dumny, żeby zabiegać o odwzajemnienie uczuć.

- To prawda – poparła wujka ciocia Maryla. – taki ma charakter. I pomyśleć, pies, a zachowuje się godniej niż nie jeden człowiek.

Karolina opuściła głowę. Było jej przykro. Zawiodła przyjaciela. Przypomniały się jej chwile spędzone z Nordem. Obraz psa stanął przed nią jak żywy. Nie potrafiła podnieść głowy i spojrzeć w oczy cioci Maryli, wujowi Janowi, Pawłowi.

- Wróci. Do nocy jeszcze daleko – zbagatelizował całe zdarzenie wuj Jan. – Musiał się gdzieś zapędzić. Już robił takie wypadki, prawda Marylka?

Karolina zauważyła, jak wuj Jan mrugnął do cici. A może nie mrugnął. Może dziewczynce tylko tak się zdawało.

- O tak i to wiele razy – przytaknęła skwapliwie ciocia Maryla.

Karolina spojrzała na Pawła. Łzy napłynęły jej do oczu.

DECYZJA

Karolina nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku z szeroko otwartymi oczami. Różne myśli przychodziły jej do głowy.

- Paweł? Śpisz już?

- Jakoś nie mogę – odparł chłopiec.

Nastąpiła chwila milczenia.

- Nord żyje, prawda? – spytała Karolina.

Dziewczynka potrzebowała teraz, jak nigdy dotąd, otuchy i pocieszenia z jego strony.

- Oczywiście. Nie mam nawet cienia wątpliwości.

Karolina poczuła się silna i odważna. Mogłaby pójść do drewni sama, samiuteńka jak palec i była pewna, że ani razu nie obejrzałaby się za siebie.

- Jeżeli Nord nie wróci, pójdę go szukać – powiedziała.

- Nie będziesz się bała?

- Nic, a nic. Mogę nawet napić się wody z Czarciego Źródła.

- Coś podobnego! – wykrzyknął z podziwem Paweł.

- Nie wierzysz mi?

- Dlaczego miałbym ci nie wierzyć – zaperzył się chłopiec.

- A ty napiłbyś się?

W łóżku Pawła zachrzęściły sprężyny. Chłopiec nie odpowiedział.

- Pójdiesz ze mną do Czarciego Źródła? – zapytała drżącym głosem Karolina.

- Po co pytasz? Przecież wiesz, że tak.

- Nawet gdybyśmy spotkali tam samego Hnata?

- Yhm.

- A jeżeli złapie nas i wtrąci do jaskini? – nie dawała za wygraną Karolina.

- Wtedy też.

Dziewczynka umilkła. Teraz już nic dla niej nie było straszne. Liczył się tylko Nord. Wierzyła, że z pomocą Pawła odnajdzie psa na pewno. Uspokojona tą myślą usnęła.

Rano dotarła do leśniczówki pomyślna wiadomość. Syn sąsiadki, u której brali mleko, paść wczoraj krowy niedaleko

Wierchu Muchanin. Widział Norda. Pies spędził z nim całe popołudnie. Wieczorem, przed zachodem słońca, chłopiec pogonił krowy do obory. Czy wtedy był jeszcze z nim Nord, nie pamiętał. Najzwyczajniej w świecie nie zwrócił na to uwagi.

Wuj Jan był optymistą.

- Pewnie wlaź w drewni w jakąś dziurę i odpoczywa po wczorajszej włóczędze – powiedział wychodząc do pracy.

Po śniadaniu dzieci nakarmiły Funię, wpuściły ją do ogródka, a potem przeszukały drewnię. Norda w niej nie znalazły.

Po obiedzie Paweł wywołał Karolinę na podwórko.

- Szukałem wszędzie – powiedział. – Gdyby nawet schował się gdzieś, to i ta musiałbym go zobaczyć.

- Wujek mówił...

- Coś mi się zdaje, że wujek mówił tak dlatego, żeby nas nie martwić.

- Skąd wiesz?

- Słyszałem jego rozmowę z ciocią.

- To co teraz zrobimy/

- Jak to, co? – zdziwił się chłopiec. – Ustaliliśmy wczoraj, że będziemy go szukać.

- Ale jak? – zmartwiła się Karolina.- Przecież ciocia nie puści nas samych w góry.

- Powiemy jej, że idziemy na Wierch po borówki, bo zachciało się nam pierogów z jagodami.

- A jeśli Norda tam nie znajdziemy?

- To będziemy jeść pierogi z borówkami codziennie, aż wyjdą nam bokiem

WRÓŻBA

Dzień zapowiadał się upalny. Niebo było bezchmurne. Drzewa stały jak skamieniałe. Nie drgnęła żadna gałązka, nie zaszeleścił żaden listek. Na łące za leśniczówką buczały opasłe trzmielce. Z pobliskiego zagajnika dochodził jazgot ptasich swarów.

- Pójdziemy na Skałki. Borówek tam zatrzęsienie. Nazbieramy prędko i będziemy mieli dużo czasu, żeby przeszukać dokładnie cały Wierch – zdecydował Paweł. – Jeżeli Norda nie znajdziemy, wrócimy do domu. Jutro przeszukamy Stare Siolo i Zabrodzie, pojutrze pójdziemy na Beskidnik, potem do Czarciego Źródła i na Berdo.



Karolina przekonała się, że zbieranie jagód nie jest wcale takie łatwe jak sądziła. Kucąca w borowinie, rozchyłała sprężyste krzaczki, zrywała borówki najpierw do garści, następnie wsypywała je plastikowego wiaderka, które dała im ciocia Maryla.

- Koniec. Wiadro pełne – obwieścił z dumą Paweł. – Schowamy je na razie w zaroślach. Zabierzemy, kiedy będziemy wracali do domu.

Karolina podniosła się z ulgą z kolan. Bolały ją plecy. Ręce, aż po łokcie, umazane miała borówkowym sokiem. Sine plamy, niczym piegi, upstrzyły także jej beżowy dres.

Paweł spojrzął na siostrę i wybuchnął śmiechem.

- Alibi mamy nie do podważenia – powiedział. – Nikt nie może teraz mieć żadnych wątpliwości, gdzie byliśmy.

Zeszli ze skałek na małą polanę. Wiadro z jagodami schowali w kępie dużych jałowców, zawrócili na Wierch i rozpoczęli poszukiwania Norda. Nawoływali go. Gwizdali. Zaglądali w ciemne jary i wykroty. Przeszukiwali głębokie wąwozy i zapadliska. Daremnie. Nie natrafili na żaden, choćby najmniejszy ślad psa. Zawiedzeni zawrócili na polanę. Zmęczeni położyli się w wysokiej trawie. Paweł leżał na wznak wpatrzony w przepływające po niebie chmury. Milczał.

Karolina, tknięta dziwnym przeczuciem, podnosiła się co chwilę, klękała i wpatrywała się aż do bólu źrenic, w gęste zarośla. Zdawało się jej, że za każdym razem, że za chwilę zobaczy Norda wybiegającego z lasu.

- Pora na nas - powiedział Paweł podnosząc się z ziemi. – Zabieramy się stąd. Leżeniem niczego nie zwojujemy.

Karolina nie traciła nadziei. Ociągała się. Zwlekąca z odejściem. Marudziła.

- Paweł, patrz – powiedziała półgłosem do brata trącając go równocześnie łokciem.

Po polanie chodziła stara kobieta. Przystawała co chwilę, podnosiła coś z ziemi, chowała do dużej płóciennej torby przewieszanej przez ramię i ruszała dalej.

Kiedy spostrzegła dzieci, wyprostowała się, wsparła się na lasce. Czekąca, aż się do niej zbliżą. Twarz miała kościstą, skórę pomarszczoną, opaloną przez słońce na brąz, spojrzenie bystre, uważne.

- Czyjaś ty, córuniu? – spytała skrzekliwym głosem i wlepiła oczy w Karolinę.

- To moja siostra – odparł za dziewczynkę Paweł.
- Co robicie tutaj, tak daleko od ludzi, hę?
- Przyszliśmy na jagody – powiedział Paweł podnosząc do góry plastikowe wiaderko wypełnione po brzegi borówkami.
- Jagody, jagody – gderała stara – a wydzierają się jak dzikusy. Nie wiecie, że w lesie trzeba zachowywać się jak w kościele.
- Szukamy psa. Zaginął nam wczoraj – tłumaczył się pośpiesznie Paweł. – Wyżeł. Wabi się Nord.
- Łaciaty?... pana leśniczego?... wiem, wiem – przerwała chłopcu zniecierpliwiona. – No to, w takim razie, dobrze trafiłaś córuniu – zwróciła się do Karoliny. – Stara Pelagia postara się rozwikłać waszą zagadkę. Zerwij mi dziecinko tamto ziele – pokazała palcem niepokaźnie wyglądającą roślinkę obsypaną białym puchem.

Karolina zerwała ją ostrożnie i podała je staruszce. Ta podniosła ziele do góry, przykneła oczy, dmuchnęła. Biały puch zawirował w powietrzu. Wzbił się w niebo i leciał coraz wyżej i wyżej, aż zniknął im zupełnie z oczu.

- Widzę wzgórze porośnięte bukowym lasem. Na wzgórzu dwór z grubych bali – mówiła cichym głosem kobieta. – Właśnie otwiera się brama. Wyjeżdża przez nią dziwnie ubrany człowiek na koniu. Jakby rycerz, tyle, że bez zbroi. Jedzie drogą do Wetliny. Nie. skręca w bok. Wjeżdża na podwórko drewnianego domu krytego czerwona dachówką. Z domu wychodzi tęgi, zielony mężczyzna z wielkimi wąsami. Wita się z przybyszem. Rozmawiają. Śmieją się. Przybysz coś mu pokazuje. Nie widzę zbyt dobrze, bo to, co mu pokazuje, znajduje się akurat po drugiej stronie jeźdźca zasłonięte i przez przybysza i przez konia. Jakieś zwierzę. Jakby pies. Chyba pies. Łaciaty. Tylna łapa biała. Owinięta jakąś szmatą. Bandaż?... Nie jestem pewna. Nie wiem. Ale chyba pies. Nie widzę. Ciągłe go zasłaniają...
- Nord! – krzyknęła uradowana Karolina.

Stara kobieta umilkła. Spojrzała groźnie na dziewczynkę.

- Oj, córuniu... – pogroziła Karolinie palce. – Niedobrze się stało. Więcej już ode mnie nic się nie dowiesz...
- To był Nord, proszę pani – próbowała tłumaczyć się rozgorączkowana Karolina.
- Może Nord, a może nie Nord... nie wiem. Nie widziałam dokładnie. Chciałam rozwiązać zagadkę, ale nie pozwoliłaś mi. Przerwałaś moje wróżenie. Co będzie dalej, nie potrafię ci powiedzieć. Wiem tylko jedno. Reszta zależy teraz od twojej silnej wiary i woli.



BOHATER WIECZORU

- Jedzie! Jedzie! – Karolina wpadła do domu jak burza, przeleciała przez wszystkie pomieszczenia leśniczówki jak wiatr.
– Błądny rycerz jedzie! – krzyknęła do Pawła i wybiegła na podwórze.

Chłopiec spojrział z niedowierzaniem na ciotkę Marylę.

- Jeżeli tak, to chodźmy witać gościa – powiedział wuj Jan.

Wyszli przed dom.

Do leśniczówki zbliżał się jeździec. Kary koń szedł stępą. Obok konia biegł Nord. Utykał. Tylną łapę owiniętą miał bandażem.

- Dzień dobry wszystkim! – zawołał wesoło jeździec. – Witaj księżniczko. Przeprowadziłem ci twoją zgubę – wskazał psa lekkim ruchem głowy.

- A nie mówiłam? – Karolina plasnęła z radości w ręce i spojrzała triumfująco na domowników. Przywołała do siebie Norda i tuliła go z całych sił, przemawiała do niego, głaskała go, tarosiła za uszy.

Pies poddawał się pieszczotom dziewczynki z bezwonną uległością.

- Nie do wiary – wykrztusiła zaskoczona ciocia Maryla. – Jak w bajce. No, niechże pan powie – zwróciła się do przybysza – czy takie sytuacje rzeczywiście się zdarzają? – I nie czekając na jego odpowiedź stwierdziła z przekonaniem. – Nie, i jeszcze raz, nie. Co prawda widzę, ale nie wierzę. A może to tylko sen? – uszczypnęła się w policzek i syknęła z bólu.

- Sen i jawa, droga pani, złudzenie i rzeczywistość – odparł poważnie gość.

Stali przed leśniczówką, żartowali, przekomarzali się zupełnie nie zauważając, że zapada zmierzch.

Pierwszy zorientował się przybysz i zaczął zbierać się do odjazdu.

- O nie! – sprzeciwiła się ciocia Maryla. – Tak łatwo pan nam nie umknie. Bez kolacji pana nie puszczę.

Gość czuł się nieswojo. Speszony tłumaczył się niezręcznie, wymawiał się pilnymi obowiązkami. Na próżno. Ciocia Maryla nie ustąpiła. Gdy do jej prośb dołączyli pozostali mieszkańcy leśniczówki, uległ.

- Nie odmawia się damom, panie rycerzu – żartował wuj Jan wprowadzając gościa do domu.

Zapalono w kominku. Zapłonęły świece w kutym lichtarzu. Na stole stanęła, używana tylko na specjalne okazje, zastawa. Ciocia Maryla dwoiła się i troiła, żeby zaspokoić wilcze apetyty biesiadników.

Po kolacji usiedli przy kominku. Gość na miejscu honorowym, w skórzanym fotelu. Dorośli pili kawę. Wuj Jan palił fajkę.

- Jakbym nie próbował tłumaczyć sobie ostatnich wydarzeń, nie znajduję dla nich sensownego uzasadnienia – powiedział wuj Jan puszczając z fajki kształtne kółeczka dymu.

- To nie jest takie tajemnicze, ani takie zagadkowe, na jakie wygląda – odparł gość.

- Jeśli jest tak, jak pan mówi, to skąd wiedziała o tym Karolinka? – wtrąciła ciocia Maryla.

- Oj, ciociu – zniecierpliwiła się dziewczynka – przecież wiesz, że kiedy wróżka...

- Lubię bajki, kochanie, ale jestem na nie już za stara – przerwała Karolinie ciocia.

- Ja też nie wierzyłem, a jednak wszystko odbyło się tak, jak przepowiedziała staruszka – poparł siostrę Paweł.

- Widzi pan? - ciocia Maryla rozłożyła ręce. – Nie pozostaje mi nic innego jak wierzyć w czary. I to kiedy? W epoce kosmicznych lotów i powszechnej komputeryzacji!

Gość wysłuchał wynurzeń cioci, pokiwał głową, uśmiechnął się.

- Niestety, droga pani, dzieci mają rację.

- No nie! Tylko tego brakowało! – wykrzyknęła ciocia. – Pan też? – spojrzała z niedowierzaniem na gościa. – Nie powie pan przecież, że jest błędnym rycerzem a ta staruszka, to czarownica przepowiadająca przyszłość.

- Poniekąd tak.

- Ależ ja mam szczęście! To może powie mi pan także, jak na imię ma błędny rycerz.

Gość wstał z fotela, uklonił się i powiedział:

- Andrzej.

Ciocia Maryla buchnęła gromkim śmiechem. Wtórował jej wuj Jan. Śmiał się również nieznamy.

Karolina była zaskoczona i zdziwiona sytuacją. Zupełnie nie pojmowała zachowania dorosłych.

- Postacie, o których tutaj mówimy, istnieją naprawdę – objaśniał spokojnie pan Andrzej. – A więc, jest Nord, jest dobra wróżka, albo jak pani woli – zwrócił się do cioci Maryli – czarownica, czy wreszcie błędny rycerz, czyli ja. Kto wie, czym ta historia

zakończyłaby się, gdyby nie przypadek. Zresztą, światem rządzą przypadki i nic na to nie można poradzić.

- Zgodzę się z panem, z tym, że te przypadki będziemy nazywali faktami – przerwała u cicia.

- Proszę bardzo, szanowna pani – zgodził się gość. – A oto te fakty. Jechałem do Moczarnego przez Beskidnik. Ujechałem jakieś trzy, może cztery kilometry i naraz moja kobyłka zaczyna strzyc uszami i parskać, jakby wyczuła wilka. Wilk na Beskidniku? W środku lata? Zsiadam z klaczki, buszuję po zaroślach i co widzę? Wyżła we wnykach. Dobrze, że pętla zacisnęła mu się na tylnej łapie a nie na karku, bo byłoby już po psie.

- A niech to licho porwie! – zawołał wzburzony wuj Jan. – Kłusownik na Beskidniku? Jak to możliwe? – oburzał się i dziwił jednocześnie.

- A ta wróżka, którą spotkaliśmy na Wierchu? – zapytał Paweł.

- To stara Pelagia... zielarka ze Strzebowisk. Właśnie od niej dowiedziałem się, do kogo należy wyżel.

- Teraz rozumiem – pokiwał głową Paweł. – Ona wiedziała o wszystkim wcześniej od nas.

- A ja i tak wierzę, że ona jest dobrą wróżką – powiedziała z przekonaniem Karolina.

- Masz rację, młoda damo – zgodził się z nią pan Andrzej. – Jest wróżką i to nie byle jaką. Raz popatrzy na człowieka i wie o nim wszystko, jakby czytała z otwartej księgi.

NA ZIELONEJ POŁONINIE

Na wycieczkę w góry wyruszyli wcześniej rano.

Wybrali szlak turystyczny, który zaczynał się na Przełęczy Wyżnej, biegł górską łąką, skręcał w bukowy las i tak zwaną końską drogą prowadził na szczyt Połoniny Wetlińskiej. Gospodarz schroniska na połoninie woził nią zaopatrzenie.

Na Wyżnej wysiedli z autobusu i udali się do punktu informacyjnego Bieszczadzkiego Parku. Wuj Jan kupił bilety wstępu.

Pawła zainteresowały kolorowe okładki książek. Były to wydawnictwa przeznaczone dla turystów zwiedzających Bieszczadzki Park Narodowy. Chłopiec wybrał przewodnik „Ścieżka przyrodnicza – Połonina Wetlińska.”

- Przyda się nam, prawda? – spytał patrząc na wujka Jana.



- Wybór świetny – kiwnął głową z aprobatą wuj Jan. – Właśnie tą trasą będziemy szli.

Ruszyli przed siebie. Przodem biegł Nord, za nim podążali Paweł i Karolina. Pochód zamykał wuj Jan z plecakiem wypchanym jedzeniem i piciem na cały dzień.

Nie śpieszyli się. Musieli oszczędzać siły. Mieli do przebycia spory kawałek drogi.

Zabezpieczyli się na wypadek nagłej zmiany pogody. Wzięli swetry, płaszcze przeciwdeszczowe i po dodatkowej parze butów. Dzieci buntowały się, ponieważ dzień zapowiadał się wyjątkowo upalny, więc nie widziały powodu, żeby obciążać się dodatkowym ekwipunkiem.

Wuj Jan był jednak nieugięty.

- Lepiej dźwigać niż ścigać – powiedział. – Pogoda w górach lubi płatać figle, dlatego musimy być przygotowani na każdą ewentualność.

Po takim stwierdzeniu dzieci nie próbowały już sprzeciwić się cioci Maryli, która pakowała im do plecaków grube swetry i czapki.

Tak więc nie tylko wuj Jan, ale oni również mieli co dźwigać. Nic dziwnego, że zatrzymywali się pod byle pretekstem i urządzali sobie dłuższe popasy. Szczególnie Karolina, która nie miała przygotowania do forsownego marszu.

Dość długo szli lasem. Wyboista, usłana głazami droga biegła wąwozem. Po jego obu stronach rosły rozłożyste buki. Ich konary tworzyły nad głowami piechurów zielony dach.

- Ale kolosy! – zawołał z podziwem Paweł.

- Rzeczywiście, duże – zgodził się wuj Jan – chociaż są jeszcze większe, takie, które mają ponad dwieście lat. Rosną na północnym stoku Wetlińskiej. Zobaczycie je, kiedy będziemy szli granią.

- Co tak dziwnie pachnie? – zapytała Karolina pociągając głośno nosem.

- Niedźwiedzi czosnek – powiedział wuj.

- To niedźwiedzie jedzą czosnek? – zdziwiła się dziewczynka.

- Niedźwiedzie, choć są drapieżnikami, żywią się nie tylko mięsem, jak sądzi większość ludzi, ale zjadają także wiele owoców, roślin i bulw. Ich dieta, podobnie jak nasza, jest urozmaicona – wyjaśnił wuj Jan.

Nagle drzewa rozstały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i znaleźli się na wysokogórskiej łące.

Karolina stanęła urzeczona niezwykłym widokiem. Nad nim górował, porośnięty wysoką trawą, grzbiet Połoniny Wetlińskiej. Wśród traw rosły wielobarwne skupiska kwiatów.

- Nigdy takich nie widziałam – szepnęła zdumiona dziewczynka.
- I nic dziwnego – powiedział wuj Jan. – To są goździki skupione, kwiaty, które rosną tylko u nas, w Bieszczadach. A ten, tam – wuj wyciągnął przed siebie rękę – taki fioletowy, podobny do bratków, które ciocia ma w swoim ogródku, to fiołek dacki.
- A to jest mniszek! – zawołał uradowany Paweł pokazując kwiat z żółtą, strzępiastą główką.
- Niestety Pawełku, łudząco podobny do mniszka, ale to prosienicznik jednogłówkowy.

Pod nimi, w dolinie, rozciągało się zielone morze drzew. Środkiem doliny wiała się asfaltowa szosa. Jechały nią samochody osobowe nie większe od guzika. Przy szosie stały domki wielkości pudełka zapalek. Ludzi, z tej odległości, nie można było w ogóle dojrzeć.

- Caryńska, Wetlińska, Hnatowe Berdo – objaśniał dzieciom wuj Jan zataczając ręką wielkie koło. – A tam, tamte szczyty zamglone, jakby rozmazane malarskim pędzlem, to Halicz, Krzemień, Tarnica.

Dął porywisty wiatr. Ubrali swetry i włóczkowe czapki. Zarzucili plecaki na ramiona i ruszyli do schroniska. W schronisku napili się gorącej herbaty, odpoczęli i ruszyli na Hnatowe Berdo.

Szli wąską, wygodną ścieżką wydeptaną wśród wysokich traw. Prowadziła grzbietem połoniny, potem schodziła do małej kotlinki. Stąd na szczyt Berda mieli kilkadziesiąt kroków. Wspinaczka na grań była krótka, ale wyczerpała i tak już nadwątlone siły małych piechurów. Na szczycie Berda wuj zarządził długi odpoczynek.

Usiedli przy ścieżce pod osłoną niewielkich skałek. Było ciepłej, bowiem nie wiał tutaj taki dokuczliwy, jak na połoninie, wiatr. Również stok góry osłaniał ich skutecznie przed jego zimnymi podmuchami.

Ściągnęli swetry i włożyli je do plecaków. Wuj Jan stwierdził, że nie będą im już potrzebne.

Dogoniła ich grupa turystów. Rozkrzyczani, młodzi ludzie założyli biwak na skałkach Berda.

Wuj Jan podniósł się z ziemi, podszedł do biwakujących turystów i pokazując na skałki, coś tłumaczył im długo i cierpliwie.



Młodzi ludzie zarzucili plecaki na ramiona, zeszli ze skałek i ruszyli w stronę schroniska.

- Dlaczego przepędziłeś ich ze skałek, wujku? – zapytała zaciekawiona Karolina.

- Ponieważ rosną tam bardzo rzadkie gatunki roślin alpejskich, które można zniszczyć bezpowrotnie wybierając na odpoczynek takie miejsca, jak tamto. Zresztą, spójrzcie sami. Ta wążka, niepozorna trawka, to kostrzewa niska, zaś te kwiaty o żółtych delikatnych płatkach, to pięciornik złocisty. Nigdzie w Bieszczadach nie spotkacie ich, tylko tutaj, na tych skałkach.

- A to dzwoneczki! – zawołała Karolina pokazując w skalnej szczelinie delikatne, fioletowe kwiaty, przypominające swoim kształtem miniaturowe dzwonki.

Siedzieli na Berdzie, podziwiali rzadką roślinność, posilali się, nabierali sił do dalszej wędrówki. Przeszli najtrudniejszy odcinek szlaku. Została im do pokonania Przełęcz Orłowicza, a potem już tylko łagodne zejście do Wetliny północnym stokiem Berda.

Karolina odczuwała trudy marszu. Bolały ją nogi. Choć wzbraniała się, wuj Jan wziął ją na barana. Podchodzenie nie sprawiało mu trudności. Gorzej było jednak ze schodzeniem.

- Wujku? Zsadź mnie już, co? – prosiła zawstydzona dziewczynka.

- Siedź, siedź, nie grymaś – odpowiadał wuj Jan poprawiając podwójny ciężar na swoich plecach i parł niepowstrzymanie naprzód.

Karolina była równie uparta jak on. Prosiła, nalegała, aż w końcu wuj ustąpił.

- Dobrze – zgodził się. – Przy Baszcie.

Tak miejscowi ludzie nazywali samotną skałkę z urwistą ścianą przypominającą basztę warownego zamku.

Przy niej właśnie zatrzymali się na ostatni biwak. Rozpakowali plecaki, wyciągnęli ostatki swoich zapasów.

Zmęczenie malowało się na twarzach uczestników wyprawy.

Nord wyciągnął się na ziemi jak długi. Pysk położył na przednich łapach, wywalił na wierch czerwony jęzor i dyszał.

Karolinę zaciekawiła urwista skałka. Dziewczynka postanowiła obejrzeć ją sobie. Obeszła skałkę dookoła dobrze widoczną ścieżką wydeptaną wśród zarośli i niespodziewanie znalazła się na polanie porośniętej wielkimi paprociami. Przedarła się przez nie rozcierając je rękami i zobaczyła w skale szczelinę z której sączyła się strużka wody.

Dziewczynka poczuła pragnienie. Nabrała wody w stuloną garść, schyliła głowę i już miała się napić, gdy usłyszała za sobą czyjś głos.

- Bardzo smaczna. Orzeźwia i dodaje sił.

Karolina odwróciła się i ujrzała młodą kobietę o oczach zielonych jak wody Wetlinki, ustach czerwonych jak grona jarzębiny. Dziewczynka zamarła z wrażenia. Serce w jej piersiach biło jak oszalałe.

- Branka – szepnęła bezwiednie.

- Co mówisz? – spytała kobieta.

Karolina nie odpowiedziała. Cofała się powoli, krok za krokiem.

- Hej! Mała! – krzyknęła kobieta. – nie uciekaj. Chcę cię o coś zapytać.

Karolina zatrzymała się.

- Widziałaś mężczyznę na koniu?... wysoki?... w kowbojskim kapeluszu? – dopytywała się.

Dziewczynka skinęła przecząco głową i rzuciła się do panicznej ucieczki. Pędziła przez chaszcze nie zważając na smagające ją po twarzy gałęzie. Zwolniła dopiero wtedy, gdy ujrzała przed sobą wuja Jana i Pawła z plecakami na ramionach, gotowych do drogi.

- Dobrze, że jesteś – powiedział wuj Jan. – Już zaczęliśmy się martwić, czy za bardzo nie oddaliłaś się od nas.

- Szybka jesteś – Paweł pokiwał z uznaniem głową. – Nawet Nord nie mógł za tobą nadążyć.

Pies stał obok Karoliny z wyciągniętym językiem, wlepił w dziewczynkę swoje wierne ślepie i ciężko sapał.

NIESPODZIANKA

- Będziemy mieli gości – oświadczyła przy obiedzie zaaferowana ciocia Maryla.

- Kogo? – zaciekawiała się Karolina.

- Wujek spotkał pana Andrzeja. Okazało się, że w najbliższy wtorek wyjeżdżają z Bieszczadów, więc zaprosił ich do nas na pożegnalną kolację.

Zaproszeni goście zjawili się w leśniczówce późnym popołudniem.

Karolina stała w oknie i obserwowała ich przyjazd zza firanki.



Pan Andrzej przyjechał w towarzystwie młodej kobiety. Była to ta sama czarnowłosa, zielonooka dziewczyna, którą Karolina spotkała przy Czarcim Źródle.

Wuj Jan oprowadzał gości po swoim gospodarstwie. Nie omieszkał pokazać im Funi. Był bowiem ciekawy, jak sarenka zachowa się wobec obcych ludzi.

Funia była ostrożna, nieufna, bojaźliwa. Nie pozwoliła obcym podejść blisko do siebie. Nie było mowy, żeby dała się im pogłaskać albo dotknąć. Wbiła się zadem w niedostępny kąt ogródka, fukała i postukiwała kopytkiem w ziemię chcąc odstraszyć intruzów.

Wuj Jan był zadowolony.

- To bardzo dobrze – cieszył się – bo jej zachowanie oznacza, że mimo kontaktu z nami nie zatraciła instynktu zwierzęcia dzikiego, żyjącego na wolności, a więc nie powinno być żadnych problemów z jej powrotem do naturalnego środowiska – tłumaczył gościom.

Po jakimś czasie ruch na podwórku zamarł. Goście i witający ich domownicy przenieśli się do leśniczówki. Z pokoju gościnnego dochodził gwar rozmów, szuranie krzesel, brzęk naczyń, głośnie śmiechy.

Karolina stała ciągle w oknie zapatrzona w czarną ścianę lasu porastającego wzgórze na wprost leśniczówki. Z zamyślenia wyrwało ją trzaśnięcie drzwi.

Do pokoju wszedł Paweł.

- Gdzie ty się podziewasz? Wszędzie ciebie szukam – powiedział Paweł wyrzutem. – Pan Andrzej pytał o ciebie kilka razy.

- Pan Andrzej? – udała zdziwienie.

- Niech będzie błędny rycerz, jeżeli sobie tak życzysz – odparł zniecierpliwiony chłopiec.

- Ona tam jest?

- Kto?

- Branka – wyrwało się Karolinie, ale natychmiast poprawiła się.

- Ta, co z nim przysłała.

- Aa, panna Basia. Jest, a jakże. Chodź, poznasz ją. Tobie też się spodoba. To wspaniała dziewczyna. Chodź już, nie marudź – popędzał Karolinę Paweł widząc, że siostra ociąga się.

W pokoju gościnnym panowała wesoła atmosfera. Wuj Jan skończył właśnie opowiadać jakąś dowcipną historyjkę i wszyscy zaśmiewali się do łez.

- O! Jest moja księżniczka! – zawołał pan Andrzej. – A gdzie to chowała się dama mojego serca?

- W pokoju – wypalił bezceremonialnie Paweł.

- Wcale się nie chowałam – zaprotestowała urażona Karolina. – Ja tylko tam byłam.

- Przepraszam – pan Andrzej podniósł obie ręce do góry. – Nie chciałem ciebie urazić. Tak mi się jakoś nieopatrzenie wyrwało – powiedział poważnym tonem. –Usiądź koło nas, proszę – podsunął Karolinie krzesło.

Dziewczynka czuła się bardzo nieswojo. Po jej prawej stronie siedział pan Andrzej, po lewej zaś zielonooka nieznajoma.

- Jesteś Karolina, prawda? – zapytała kobieta.

Dziewczynka skinęła w milczeniu głową.

- Barbara – przedstawiła się. – Dla przyjaciół, Baśka – wyciągnęła do Karoliny rękę. – Spotkałyśmy się już, pamiętasz? Szukałam wtedy ojca na Berdzie. Miał tam robić zdjęcia. Jest fotografikiem. Przygotowuje do wydania album „Bieszczadzkie przestrzenie”. Zbiera także podania ludowe, legendy, baśnie i spisuje, żeby je ocalić od zapomnienia.

- O Berdzie też?

- Och, tych to ma trzy, a może i więcej. Jedna z nich, ta, która podoba mi się najbardziej, opowiada o bieszczadzkim biesie i węgierskiej brance.

- O czym wy tam tak konspirujecie? – zainteresowała się ciocia Maryla.

Panna Basie opowiedziała cioci o spotkaniu przy Czarcim Źródle.

- Ale historia! – kręciła głową ciocia. – Dziecinko – zwrócił się do Karoliny – przecież to tylko legenda, bajka i nie należy brać jej na serio.

- A dlaczego wtedy, na drodze, powiedział, że jest błędnym rycerzem?

- Panie Andrzeju? – ciocia zwróciła się do gościa i zaczęła szeptać mu do ucha.

- Jejku, ciociu – obruszył się Paweł, ponieważ ciocia Maryla przerwała mu rozmowę z panem Andrzejem w najciekawszym momencie.

- Spokojnie, młody człowieku, za chwilę wrócimy do naszego tematu – uspokoił go gość. – A więc mam tej młodej damie opowiedzieć, jak zostałem błędnym rycerzem? – spytał patrząc na Karolinę.

- Właśnie – przytaknęła ciocia.

- Sprawa jest prosta. Jak państwu wiadomo, przyjechałem tutaj z kolegą i Basią. Zamieszkaliśmy u znajomego, który prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Hoduje również hucyły, więc podsunął nam pomysł, że zamiast przemierzać góry pieszo, szybciej i wygodniej będzie pokonywać je konno. Nie wiedziałem, że kobyłka, którą sobie upatrzyłem, to nadzwyczajna diablica. Potulna jak baranek, ale gdy sobie ubzdura, że czas od stajni, nic jej nie powstrzyma. Jak mogliście się państwo przekonać naocznie, jeździec ze mnie kiepski, więc Gwiazdka pozbywała się mnie bez trudu. Kolega, widząc moje tragiczne powroty, nazwał mnie żartobliwie błędnym rycerzem. Ot i cała historia. Zresztą pan Jan zna obyczaje tej przewrotnej bestii i może poświadczyć, że wcale nie mijam się z prawdą.

- O tak – potwierdził wuj Jan. – Mnie także zafundowała niejedno spotkanie z twardą ziemią, a przecież jeździec ze mnie nie najgorszy. Pamiętam, jesienią ubiegłego roku – wuj przerwał w pół słowa i zaczął nasłuchiwać.

Umilkli, jak na komendę, również pozostali.

Nord podniósł się spod kominka, podszedł do drzwi, przekrzywił łeb i zaczął warczeć.

Wszechobecny mrok za oknami rozjarzyło ostre światło.

- Pożar? – zdumiał się wuj Jan.

Wstał z fotela, otworzył drzwi, puścił Norda przodem i wyszedł za nim na podwórze. Pozostali w pokoju zastygli w niemym oczekiwaniu.

Nie czekali długo. Wuj Jan zjawił się niebawem taszcząc w obu rękach podróżne torby. Za nim, w progu, stanęła kobieta ubrana w długi prochowiec

- Mamusia! – krzyknęła uradowana Karolina, zerwała się na równe nogi i rzuciła się kobiecie na szyję.

POŻEGNANIE

Przyjazd mamy spowodował w leśniczówce zamieszanie. Nikt się jej teraz nie spodziewał. Miała przyjechać do Wetliny na początku przyszłego tygodnia.

- Dostałam kilka dni urlopu – tłumaczyła mama cioci Maryli. – Chciałam wykorzystać nieobecność dzieci i zrobić w domu generalne sprzątnięcie. I myślicie, że zrobiłam? Gdzie tam –

machnęła ręką. – Ogarnęła mnie za nimi taka tęsknota, że rzuciłam wszystko, spakowałam co mi tylko wpadło w ręce, no i jestem. Nawet nie chcę myśleć co będzie, kiedy zacznę się rozpakowywać

I rzeczywiście. Śmiechu było z tego powodu co niemiara.

Oprócz bielizny, sukienek i bluzek, w bagażach mamy znalazły się trzy pojedyncze buty, zimowe rękawice, dwa talerzyki deserowe, pokrywka miksera, szczotka odkurzacza i parę innych drobiazgów zupełnie nie wiadomo, z jakiego powodu zapakowanych.

- A nie mówiłam – śmiała się mama nic sobie nie robiąc z docinków cioci Maryli i wuja Jana.

- Ale z ciebie roztrzepaniec – kręciła głową ciocia.

- Oj, ratujcie – stękał wuj Jan. – Już nie mogę – trzymał się za brzuch. – Umrę ze śmiechu – przysiadł na kanapie, fotelach, podłodze.

Wieczorem beztroski nastrój pękł jak mydlana bańka.

- Cudownie u was, moi kochani, pięknie, ale wszystko co piękne i cudowne szybko się kończy – powiedziała mama. – Przyjechałam zabrać dzieci do domu. Jutro wyjeżdżamy.

- Jutro? – ciocia Maryla oniemiała. – Już jutro? – powtórzyła zaskoczona. – Ale dlaczego? Przecież do końca wakacji jest jeszcze ponad tydzień.

- W piątek muszę być w mojej firmie. Dzieci mogłyby zostać, to prawda, ale i tak za dwa, najwyżej trzy dni, ktoś musiałby je przywieźć, bo trzeba je przygotować do szkoły. Nie wiesz, Mysiu, ile jest gonitwy po sklepach, tłoku, stania w kolejkach – narzekała.

- Ciężko będzie mi teraz przywyknąć do pustej leśniczówki – westchnęła ciocia Maryla.

- Nie martw się ciociu – pocieszyła ją Karolina. – W przyszłym roku przyjedziemy do ciebie.

- A do tego czasu będziemy pisali listy – dodał Paweł.

- Z listami od was będzie mi na pewno łatwiej dotrzeć do przyszłorocznych wakacji – ucieszyła się ciocia.

Ustalili, że wyjadą z Zagórza nocnym pociągiem, zaś do pociągu odwiezie ich wuj Jan.

Ostatni dzień pobytu w Wetlinie upłynął dzieciom bardzo szybko.

Ciocia Maryla i mama prawie nie wychodziły z kuchni. Przygotowały prowiant na drogę, rozmawiały o swoich kobiecych sprawach.

Wuj Jan nie poszedł do pracy i całe przedpołudnie grzebał przy samochodzie. Chodził zamyślony i smutny. Twierdził, że nie czuje się najlepiej. Pewnie coś mu rzeczywiście dolegało, bo nie tknął wcale obiadu.

- Dzień coś nie bardzo – tłumaczył domownikom. – Słońce. Upał – kaprysił. – Na pewno będzie burza – mówił zerkając na niebo.

Niebo było błękitne, czyste, bez jednej chmurki. Słońce przygrzewało mocno, w powietrzu unosił się słodki miód i nic, wbrew twierdzeniom wuja Jana, nie zapowiadało nadciągającej burzy.

Dzieci poszły z Nordem na Wierch Muchanin, żeby spojrzeć ostatni raz na dolinę, w której leżała Wetlina.

Kiedy wróciły do leśniczówki, przygotowania do wyjazdu były zakończone.

- Siadajmy do stołu – powiedziała ciocia Maryla ocierając ukradkiem łzy. – To nasz ostatni wspólny posiłek.

Jedli na siłę, wręcz zmuszali się do przełknięcia każdego kęsa. Mama próbowała rozładować przygnębiającą atmosferę, ale jej się nie udało, więc umilkła.

Pierwszy podniósł się zza stołu wuj Jan.

- No – sapnął ciężko – komu w drogę... pociąg nie samochód, czekał nie będzie.

Podnieśli się z krzeseł niechętnie, z ociąganiem.

Zanieśli bagaże do samochodu. Wyszli przed leśniczówkę.

Dzieci obrzuciły ostatnim spojrzeniem podwórko, dom, jego otoczenie. Pożegnały się z Funią, Nordem, ciocią Marylą.

Wsiedli do auta. Samochód ruszył. Jechali powoli polną drogą wzniesając za sobą tuman kurzu.

Karolina spojrzała przez tylną szybę. Podniosła rękę do góry. Żegnała leśniczówkę, Hnatowe Berdo, bieszczadzkie połoniny, potoki, polany, lasy. Ujrzała je tak wyraźnie i tak blisko, iż wydawało się jej, że wystarczy wyciągnąć palec, żeby ich dotknąć.

Spis rozdziałów

Dziwny pasażer
Leśniczówka
Przyjaciele
Tajemnica Berda
Funia
Choroba
Zagadkowe zniknięcie
Decyzja
Wróżba
Bohater wieczoru
Na zielonej połoninie
Niespodzianka
Pożegnanie